Tom VI. Nr. 14.

11. Maja 1862.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.



DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Bóg wie co robi.

Mędrzec pewien będąc prześladowany w swojej ojczyźnie, musiał z niej uciekać na pustynię, między dzikie zwierzęta i dzikszych od zwierząt rozbójników. Nie zabrał on z sobą żadnych bogactw, ale tylko rzeczy użyteczniejsze, to jest: latarkę, przy której mógł w nocy czytywać księgi święte; koguta, który miał służyć za zegar i oznajmiać jutrzenkę, i osła, na którym podróż odprawiał.

Od samego świtu przebierając się przez pustynię, postrzegł on mędrzec, że się już miało ku zachodowi, i że niebawem noc nastąpi; co tu teraz począć? gdzie osiołka nakarmić i napoić? gdzie samemu znaleźć przytułek? Ta myśl go bardzo zakłopotała, ale na szczęście zobaczył w oddaleniu wioskę. Pospieszył więc do niej; ucieszył się, że ją zastał zamieszkałą, i tak sobie wnioskował: że tam, gdzie są ludzie, musi być i ludzkość, czyli gościnne przyjęcie. Jednakże mędrzec wielce się oszukał. Żaden bowiem z mieszkańców nie chciał go przyjąć na nocleg; nie wypadło mu więc jak w pobliskim lasku szukać na noc przytułku.

— Przykra to rzecz — mówił do siebie — mieć przed nosem drzwi zamknięte, i spać na twardej ziemi pod gołem niebem. Jednakże Pan Bóg jest sprawiedliwy, i wszystko, co robi, wychodzi na dobre!

W lesie puścił osiołka na trawę; sam usiadł pod drzewem, zapalił latarkę i zaczął święte księgi wartować. Ale zaledwie jeden rozdział przeczytał, kiedy mocny wicher się zerwał i zdmuchnął świecę w latarce.

— Cóż za nieszczęście! — zawołał — zgłodniały, niemam dachu, i jeszcze czytać w ulubionej książce nie mogę? Jednakże Pan Bóg jest sprawiedliwy, i wszystko, co robi, wychodzi na dobre!

Mędrzec rozciągnął się na twardej ziemi, usiłując zażyć snu przez resztę nocy. Wszakże zaledwie przymknął powieki, gdy oto przyszedł wilk i porwał mu koguta.

— A to już niesłychane nieszczęście! — zawołał zdziwiony mędrzec — Zginął mój czujny towarzysz; któż teraz będzie mię budził, ażebym o zorzy wstawał modlić się i czytać księgi świętej mądrości? Jednakże Pan Bóg jest sprawiedliwy, i wszystko, co robi, wychodzi na dobre!

Zaledwie wymówił te słowa, gdy oto przypadło straszne lwisko i osła pożarło.

— Cóż pocznę teraz, nieszczęśliwy! — zawołał zasmucony pielgrzym — Cóż pocznę bez latarki, bez koguta, bez osła? Jednakże Pan Bóg jest sprawiedliwy, i wszystko, co robi, wychodzi na dobre!

Mędrzec przepędził resztę nocy bardzo niespokojnie; ze wschodem słońca wstał i poszedł do tej wioski, gdzie go tak niegościnnie przyjęto, chcąc kupić sobie konia albo osiołka dla odprawiania dalszej podróży. Lecz jakież było jego zadziwienie, gdy nie znalazł ani jednego człowieka przy życiu: horda rozbójników napadła była tę wieś, a zrabowawszy mieszkańców, wymordowała wszystkich.

— O wielki, o niepojęty Boże! — zawołał mędrzec, padając na kolana — tyś jeden sprawiedliwy, tyś jeden wszystko widzący! To, co my w naszej ślepocie nazywamy nieszczęściem, prowadzi nas często do największej szczęśliwości, byleśmy tylko

umieli znosić cierpliwie i poddawać się z ufnością twoim wyrokom. Gdyby ci wieśniacy przyjęli mię byli na nocleg, zapewne padłbym pod mieczem, jak oni; gdyby wiatr nie był mi zgasił latarki, jej blask sprowadziłby na mnie rozbójników; toż samo gdyby żył kogut i osioł, jedenby piał, a drugi ryczał, i zbójcy znaleźliby mię niechybnie. O nieogarniony w wyrokach swoich Boże! czemże jest mądrość tego świata w porównaniu do Twojej mądrości! *Cz. P.*

Do Boga.

Słońce zeszło, błyszczy rosa,
Nocy zniknął cień,
Nucą ptaszki, lśnią niebiosa,
Jasny wróżąc dzień.

Radość wszędzie, wszędzie wonie,
Świat weselem tchnie,
A choć chwila burzą wionie,
Nie trwa długo, nie.

Czemuż jednak w naszej duszy
Zawsze smutek trwa?
Kiedyż Boże! z tych katuszy
Wyrwie ręka Twa?

Czyż nam przodków przewinienia
Raz już nie dasz zmyć?
Czyż wśród smutku, udręczenia
Mamy zawsze żyć?

Nie! ty Boże dobry, wielki,
Tak nie możesz chcieć,
Byśmy szczęścia i kropelki
Już nie mieli mieć.

By nie uczuć tej słodyczy,
Co ją dusza śni,
Tylko kielich łez, goryczy,
Aż do końca dni.

Więc o Boże! przykrych losów
Kolej prędko zmień,
Niechaj miły z łask niebiosów
Zejdzie dla nas dzień.

Niechaj smutku i przykrości
Dnie wyjaśnią się;
Oto pełni łez, żałości,
Boże! prosim Cię.

X. Dd. z L....

SEN.

„Sen mara Bóg wiara“ powiadają rozumni ludzie, i prawda to wielka że nie trzeba snom wierzyć, bo to zabobon, a święta nauka Chrystusowa każe unikać zabobonów. Nie lubię słuchać jak to czasem baby przepowiadają jedna drugiej, że kiedy się

śni ogień to gniew albo złodziej; umarły, to szczęście; gadzina to grzech, i różne tym podobne duby smalone. W ręku Boskiem wszystko co nas czeka, i nie nam wdzierać się w to co dla nas zasłonięte. Gdy człowiek po pracy spocznie znużonym kościom, to się tam coś marzy duszy spać niemogącej, i co się zasłyszało, co się myślało, co się kiedy widziało, plącze się tam bez ładu: ale z tego nie godzi się wyprowadzać rzeczy przyszłe, bo o nich wie tylko Pan Bóg w niebie. Maleńkim dzieciom śnią się Aniołki, bo one niewinne, nie znają jeszcze nic grzesznego ni brzydkiego, a my już tego niegodni; jednakowoż jak się komu przyśni Anioł albo Matka Najświętsza, to jakoś tak miło i lubo że radoby się tak śnić zawsze; ale wtedy tylko modlić się trzeba, abyśmy sobie zasłużyli kiedyś tych Świętych i Aniołów twarzą w twarz oglądać. A jak się przyśni kto umarły, co już nie żyje, to ktokolwiek on jest, należy się zbudziwszy zmówić pacierz za jego duszę, bo to zbawienny uczynek i Bogu miły modlić się za umarłych, a że nie zawsze pamiętamy o tem, to dobrze że choć we śnie nam się przypomni. Jak chłodna woda na rozpalone ciało, jak łagodna maść na rany, jak wiaterek na spocone czoło przy pracy: tak modlitwa za zmarłych chłodzi i osładza dusze w czyscu cierpiące. I nam kiedyś, gdy porzucimy to życie, słodka będzie i chłodząca modlitwa dobrych ludzi. Po miastach i po wsiach dzwonią trzy razy na Anioł Pański, który za dusze zmarłe ofiarować należy; u nas znowu poczciwi Rusini nie obchodzą ślubu, chrzcin, pogrzebu, żeby za dusze zmarłe nie odprawili mszy świętej, i przy każdej okoliczności szczęśliwej i smutnej dają na msze, pamiętając o ojcach i dziadach leżących w świętej ziemi.

Otóż skoro się o snach zgadało, opowiem wam także historję jaki tu sen we wsi naszej miała jedna kobieta, będzie temu trzy lata. Ale zacznę od początku.

Jakoś przed laty trzynastu było we wsi naszej huczne wesele. Młody i przystojny chłopiec, imieniem Paweł Tereszczuk, żenił się przy rodzicach swoich z ładną Wiktą Hrycykową z sąsiedniej wsi Przemiwółek; a będąc najstarszym z rodzeństwa przyprowadził młodą żonę do chaty, i kiedyś miał pospłacawszy czterech braci sam zostać gospodarzem na pięknym i zamo-

żnym gruncie. Bardzo był jeszcze młody bo nie miał dwadzieścia lat. Młoda para kochała się serdecznie, ale niedługo było tego szczęścia; w kilka miesięcy po ślubie nastała branka i Pawła wzięli. Nachodził się za nim stary ojciec, naprosił, że stary i sił nie ma, że na syna grunt stoi, darmo płacił tu i owdzie, bo i pieniądze przepadły i syna mu wzięli. Poszedł Paweł w ciasnym białym mundurze, aż mu się świat zmienił gdy zdjął płótniankę i rzemień, a ostrzyżoną głowę nakrył kaszkietem. Wieszała się na szyi młoda żona, zawodziła matka, a staremu ojcu jak groch łzy padały.

— Czy ja go zobaczę! — dumał stary — bliżej mi grobu jak świata, syn najstarszy, pomoc i pociecha!

Paweł płakał, ściskał żonę, skłonił się do nóg rodzicom, żegnał się ze wszystkimi i kogo spotkał ze Smerekowa pozdrawiał jak rodzonego brata. I szli rekruci, z tęsknemi śpiewami, bo u nas na Rusi wszystko się z pieśnią dzieje, a Paweł jak odurzony szedł z nimi, i zdawało mu się, że już gdzieś idzie bez końca i przepadnie. Póki widział wzgórze swojej wioski i drzewa sadów, lżej mu było; ale jak się wszystko schowało za Kulikowską górę, ścisnęło mu się serce, zdawało mu się że go dławi i oddychać nie daje. Kto z was porzucał kiedy na długo rodzinne strony, niewiedząc czy wróci, ten wie jak boleśnie i ciężko opuszczać chatę gdzie się urodziło, wieś swoją i swoich miłych. A cóż dopiero gdy przyjdzie opuścić kraj ojczysty i iść między obcych. Wtedy to człowiek sierotą na tym świecie, biedny i tęskny, pusto i ciężko mu wszędzie, i chleb mu gorzki a świat niby próżny.

Więc nasz Paweł póki idąc krajem słyszał ruską a potem polską mowę, póty nie zupełnie czuł się biednym; ale jak zaszedł w niemieckie okolice, dalej i dalej! to zdawało mu się że go cały świat dzieli od swoich, że już nazad trafić nie zdoła, że innem jakiemś powietrzem oddycha, że nawet inne niebo nad nim. I tęsknił nieboraczysko, a najwięcej za swoją Wiktą kochaną. Tymczasem w Smerekowie Wikta robiła przy rodzicach jego, dumała i śniła o mężu, czekała i wyglądała kiedy wróci. Mijały lata a z niemi młodość; Paweł nie mógł dostać urlopu, pisywał rzadko, bo gdzież biednemu chłopu co pisać nie umie

zawsze płacić za list, gdy mu jaki kapral napisze i to po niemiecku. Rodzice się podstarzeli i zgarbili, bracia powyrastali, a Wikta czekała i wyglądała, kiedy Paweł wróci, a każden list oblewała łzami i modliła się gorąco do Boga i do Matki Najświętszej o powrót szczęśliwy dla męża.

Minęło tak ośm lat; stary Tereszczuk umarł błogosławiąc dzieciom i najstarszemu synowi, a na gospodarstwie została matka z Wiktą i trzech chłopaków, bo najstarszy z nich ożeniwszy się przeszedł na żonine. Aż tu razu jednego, na wiosnę, wyszedł brat sadzić kartofle za cmentarzem, a Wikta idąc za pługiem rzucała w skibę. Jest tam pagórek wyniosły a zwie się Ostrowcem, zkąd widać doskonale gościniec murowany, Żółkiew i wsie w koło. Na ścieżce od strony Mohilan ukazał się jakiś człowiek, a szedł szybko i coraz bliżej, zmierzając ku polu gdzie sadzono kartofle. Wikta podniosła się trochę od roboty i spostrzegła tego człowieka, a przyłożywszy rękę do oczu przypatrywała się, i serce jej biło. W tem pies Bosy, który był przy pługu i leżał na miedzy na worku z kartofli, podniósł łeb także, zaskomlił radośnie, zerwał się i poleciał do podróżnego. Wysypały się kartofle z fartuszka Wikcie, chciała biedz i stanęła, i patrzy, i słucha, Bosy wyszczekuje..... Paweł stanął przed nią. Co tam było radości między młodem małżeństwem, trudno opisać: tyle lat się nie widzieli, patrzyli na siebie niby obcy a ściskali się jak najmilsze kochanie.

Zapłakał Paweł że nie zastał ojca starego, kłaniał się matce, a braci to i nie poznał, tak to wszystko odmieniło się i wyrosło. Wszyscy cieszyli się że już wrócił na gospodarstwo, że już wysłużył swoje, i będzie już siedział w domu, a najwięcej cieszyła się Wikta, bo ona się z nim jeszcze pierwej nie nacieszyła, bo tęskniła ośm lat, bo nieraz doznała przykrego obejścia lub usłyszała gniewne słowo od domowych a nie śmiała się odezwać, bo nie mało się napłakała po kątach. Jakby nowe życie zaczęło się dla niej. Paweł objął gospodarstwo, zawinął się koło wszystkiego, i choć niejedno w jego nieobecności podupadło, on przecie dawał radę jak mógł, trochę długów spłacił, budynki podreperował i braci umiał utrzymać w karbach. To też i Wikta już coś znaczyła teraz. Pierwiej niby służąca, teraz

już była gospodynią; ale broń Boże nie użyła na złe tego. Świekrze nigdy nie dała uczuć że ona teraz rządzi, ale z uszanowaniem jak się należy dla matki była, braciom nie pamiętała zuchwałych nieraz słów, ale każdemu starała się dać to co potrzebował. Paweł chociaż wojskowy nie przyniósł z sobą tak jak inni złych obyczajów, cudzoziemskiej mowy i pychy głupiej, ale taki był jakby nigdy nie chodził nigdzie i nigdy się inaczej nie ubierał. I był sobie z Pawła człek cichy, pracowity i pobożny. Nie lubił nawet wspominać nigdy o żołnierskich czasach, tylko machał ręką z niechęcią gdy go kto pytał, a w duchu myślał sobie ze strachem żeby go choć więcej nie powołali. Grunt jego i gospodarka znajdowały się w coraz lepszym stanie, bo już to nic nie zastąpi silnej ręki gospodarza, który sam dojrzy i zrobi a o jutrze myśli. Wikta w pięknym przyodziewku, w brodzkich chustkach i sutych koralach, sama ładna i choża jak łania, odznaczała się między wszystkiemi młodycami urodą i cnotą. Szczęśliwa była i wesoła, odżyła niby inna, a ochocza do pracy, była mężowi najlepszą pomocą, i jej zapobiegliwością kwitło gospodarstwo domowe. Mówią: dobra żona, głowy korona, a wszystek ład i dobro idzie za nią. A jeszcze więcej uczuła się Wikta szczęśliwa, gdy poznała że jest w stanie błogosławionym, bo nic jej nie dostawało do szczęścia tylko dziecięcia własnego. Modliła się jeszcze serdeczniej do Matki Boskiej, do której miała szczególne nabożeństwo, i polecała jej siebie i to dziecię które pod sercem spoczywało.

W zimie na sam Nowy rok, powiła córkę, której nadano imię Marji. Maleńka Marynia była radością rodziców i uciechą całego domu. Wszyscy bawili i nosili, a Paweł brał nieraz na ręce i wpatrywał się długo w dziecinę z wielką czułością. Gdy go tak zaszła Wikta, brała go za szyję, i tak pochyleni nad dzieckiem mieli łzy w oczach a rodość w sercu.

Nadchodziła wiosna; różne wieści zaczęły obiegać po kraju, gadali że będzie wojna i wielka branka. Pocierpał Paweł na całem ciele, a ile razy spojrzał na żonę i dziecię, odwracał się aby ukryć wielki smutek; sposępniał i chodził jak struty. Pocierpiała Wikta, przypomniały jej się ośm lat tęsknoty, i zdawało jej się że już drugi raz tak nie wyżyje, że to bydź nie

może, i modliła się do Matki Boskiej aby odwróciła tę boleść okrutną. Tymczasem w marcu powołano wszystkich urlopników i rezerwistów, i pościągano rekrutów; straszna branka wyludniała wsie całego kraju z młodych chłopaków, a często gęsto i gospodarzy. Przyszło więc pismo i do Pawła; na samą Wielkanoc miał iść. Nie było na to żadnej rady. Rozkaz — słuchać musiano. — Jak tam Wikta sposobiła się do świąt, jak tam paskę upiekła, jak chodziła po świecie, nikt nie wie. Paweł nic nie mówił, nie narzekał, ale zmienił się i pieścił tylko w milczeniu swoje dziecko, albo pracując na obejściu lub w polu, ciężko, ciężko wzdychał.

Nadeszły Święta Wielkanocne. Po trzech dniach postu i ciszy, zabrzmiały znowu nasze dzwony cerkiewne. Alleluja i Chrystos woskres śpiewało zda się w całem powietrzu. Lud biało postrojony pozdrawiał się wesołem Zmartwychwstaniem Pańskiem, gospodynie poustawiały kręgiem koło cerkwi białe płachty, z których wyzierały żółte a wielkie jak koło od wozu paski wielkanocne, mięsiwo, jaja, chrzan, masło i różności. Po nabożeństwie świętem młodzież z pisankami ślicznemi za nadrzem, weseliła się do wieczora około cerkwi pieśni i gry wyprawiając, to Halę, to Zelmana, to słowiczka w maczku, a wieczór przeniosło się wszystko na wieś po ulicach, to w zazulkę, to w myszeńki, to w dida. — Bo święta Wielkanocne to najweselszy czas w roku: wiosna się rozwija i wszystko na nowo żyć zaczyna; skowroneczek naszych pól śpiewaczek dzwoni na chwałę Panu gdzieś w obłokach, wszystko zmartwychwstaje z tym Zbawicielem świata, który rozpięty na krzyżu śmierć zwyciężył, i powstawszy z grobu wzniósł się do nieba gdzie nas wszystkich za sobą powołuje i czeka na nas. W Smerekowie owego roku nie tak wesołe były święta jak zwykle: trzeciego dnia mieli odchodzić powołani do wojska; wszystkich to obchodziło, a kilka mołodyc zawodziło w chatach przysposabiając zapasy świąteczne dla mężów. Święconą paskę ładowały im w chustki, ten chleb święcony, chleb rodzinnej ziemi.

— Może to ostatnie Święta w domu — przemówił smutny Paweł gdy zasiadali do pożywania święconego, a Wikta zawiodła płaczem, i pierwszy kęs paski oblany był jej łzami.

Trzeciego dnia, u karczmy przy gościńcu stały fury, na których siedzieli powołani z kilku wsi sąsiednich i czekali na Smerekowców. Dzień był pochmurny i smutny. Połowa gromady wyruszyła ku gościńcowi widzieć odjeżdżających i pożegnać się z nimi. Nieraz wywożono rekrutów, a ludzie nie byli tak powarzeni i tak sobie do serca nie brali, ale teraz szli na wojnę, śmierć może czekała niejednego z nich, niejeden może nie wróci nigdy: każdemu było jakoś żal chociaż obcemu. Nadszedł i Paweł z całą rodziną swoją, a szedł tak jak na stracenie. Gdy pierwszy raz odchodził, nie czuł jeszcze takiego żalu i jakiejś dziwnej tęsknoty co mu teraz serce ściskała.

— Już ja tu nie wrócę, już ja ich nie obaczę — myślał sobie. I jakże myśleć nie miał, kiedy szedł na wojnę kędy kule latają, a gdzie stać potrzeba. Więc rozpacz go porywała, i żeby był nie westchnął serdecznie do Boga w niebie, toby się był zapomniał z tej rozpaczy. Ale to westchnienie serdeczne widać usłyszał Pan Bóg, bo mu zesłał pokrzepienie. Stanąwszy koło wozu przycisnął Wiktę mocno do piersi, podniósł dziecinę i przeżegnał krzyżem świętym.

— Bywajcie zdrowi! bywajcie zdrowi! — zawołał wyrywając się z rąk Wikty — Módlcie się za mnie abym wrócił do was! Bywajcie zdrowi! — zawołał na braci — a nie róbcie krzywdy moim sierotom! Boże Ojcze, prowadź!.....

Wóz się potoczył szybko, a w cerkwi zadzwoniono na nieszpory. Pawłowi zdało się że to jemu jak umarłemu jeszcze dzwony swoje zadzwoniły. Schował twarz w ręce i modlił się, a łzy gorące padały mu z oczu. A Wikta przy gościńcu omdlewała, a jej dziecko płakało jakby rozumiało że ojca już traci.

Ludzie już poobsiewali u nas, zieleniło się ślicznie w polu, kobiety plewiły grzędy, a tam gdzieś w Italji wielka wojna wrzała i ludzie się zabijali. Nasi Smerekowscy żołnierze pisywali często donosząc o sobie rodzicom, na szczęście żaden nie był w samym ogniu, jedni stali w Węgrzech, drudzy w Italji, ale nie opodal, w mieście Wenecji, co to cudownie na wodzie zbudowana. Paweł tylko raz napisał z drogi i donosił, że maszeruje do Italji do ognia, błogosławił jeszcze swoje dziecko, prosił matki i braci aby szanowali i nie poniewierali jego naj-

ukochańszych sierot, bo choć on by się nie wrócił, to Pan Bóg w niebie nie darowałby krzywdy. I po tym jednym liście nie było więcej żadnej wiadomości. Jak kamień w wodę tak zginął wszelki słuch o Pawle.

Ksiądz proboszcz i my na folwarku czytywaliśmy gazety i wiedzieliśmy co się dzieje, więc i gromadzie nieraz opowiadaliśmy, a Wikta najskwapliwiej się dowiadywała i okrutnie się bała o swojego Pawła. Już to prawda trudno takiej kochającej żony jak ona była, świat jej się zmienił, a którędy szła to płakała. Nieraz z nią rozmawiałam i pocieszałam, ale już nie było dla niej innej pociechy tylko do Matki Boskiej się udać i modlić się serdecnie. Już to ona szczególnie ufała i kochała Matkę Boskę. W chacie przed Jej obrazem, w cerkwi przed Jej ołtarzem, a nawet często przed figurą u gościńca zanosiła gorące prożby za Pawłem. Musiała go też Najświętsza Mateńka wziąść w opiekę i czuwać nad nim, ale nie tak jak ona kobiecina w swoim rozumie dufała, tylko inaczej, jak to święta wola Boża rozporządziła. Mała Marynia rosła i śmiała się do matki, do obrazów, do nieba; a ile razy spojrzała na nią matka to płakała mówiąc:

— Nie znałaś ty dziecino tatunia! Kiedy ty zawołasz na niego? a kiedy on usłyszy ciebie!

Otóż przeszedł jakoś miesiąc Czerwiec. Czerwieniły się jagody, czerwieniły róże, i czerwieniły się oczy Wikty od łez, a tam daleko czerwieniła się ziemia od krwi ludzkiej. A i naszej krwi polskiej niemało tam popłynęło na cudzą ziemię! Ale to nie nowina, bo już i kątka ziemi nie ma na świecie, gdzieby się ta krew polska nie lała, tak to naszych biednych braci niedola goni bez końca. A jak nadszedł tak i mijał Czerwiec, a Włochy co się tam bili za swoje, bili się dzielnie, a Francuzi im pomagali, więc i zwyciężyli cesarskie wojska. Było kilka wielkich bitew, a osobliwie jedna pod *Solferino,* bo tak się nazywała wieś, gdzie się ta bitwa odbyła.

W sam dzień Bożego Ciała, Wikta usiadłszy przy opałce wiszącej u tramu, kołysała dziecię. Było to po południu, upał doskwierał, i jak to w godzinę południową jeszcze przy święcie, cicho było wszędzie, bo się gdzieś wszystko pochowało po chło-

dach. Wikta się zapatrzyła na obrazy ślicznie ubrane w kwiaty: gołąbki papierowe i zioła pachnące wisiały rzędem nad skrzynią, a święci z obrazów patrzyli na nią. Świeże dzisiejsze wianki święcone leżały na żółtej wstążeczce na skrzyni, bo im jeszcze miejsca nie znalazła; ona dumała, i sen ją zmorzył, sparła głowę i zasnęła. A ledwie zasnęła, śniło jej się że stała gdzieś w nieznanej okolicy, nad wielką, siną wodą, i bardzo jej smutno było. Aż tu patrzy, ze środka tej wody wystąpiła niewiedzieć jak postać biała, wysoka, i woła ją ręką do siebie. Ona niepytając że woda pobiegła do niej, bo ją coś ciągło dziwnie miłego. I przybiegła blisko i patrzy. Przecudownej śliczności pani biała, szaty na niej leciuchne jak z obłoków, prześwięta słodycz w niebieskiej twarzy, nad głową światło a pod stopami wody.

— Kto ty jesteś święta Pani? — zapytała Wikta i klękła na kolana.

— Jestem Marja, matka Chrystusowa — odpowiedziała Najświętsza Panna takim głosem, że Anieli ani święci w niebie niegodni tak śpiewać. Wikta upadła na twarz i nie śmiała już spojrzeć na Nią.

— Przychodzę z tamtąd gdzie się biją — rzekła znowu Najświętsza Panna — patrz na ręce moje! — i wyciągnęła ręce w promieniach jak to często malują na obrazach. — Broniłam i obronić nie mogłam!

— Matko Boża święta — szeptała Wikta — powiedz mi co się dzieje z moim mężem?

— Módl się za jego duszę! — przemówiła na to Najświętsza Panna i wzniosła się w niebo. Wikta została i modliła się za duszę Pawła. A potem wszystko znikło i Wikta się ocuciła.

Ten sen cudowny opowiadała mi sama nazajutrz i rzewnie płakała.

— Już nie wróci mój Paweł — mówiła — ja wiem że już nie żyje. Sierota ja wieczna z mojem dzieckiem! Pójdę do Jegomości niech opiszą ten sen cudowny i pomodlą się za jego duszę.

Żal mi było bardzo Wikty, a sławiłem Boga, jak On to czasem cudownie objawia swoją wolę, i myślałem sobie, że kto

takiego cudu dozna, powinien się tylko serdecznie korzyć, a nie wzbijać się w pychę i nabierać wiary w zabobonne znaczenie byle jakich snów. A że sen ów był objawieniem woli Bożej, tośmy się przekonali wyczytawszy z gazet, że tego samego dnia, o tym samym czasie wielka była bitwa pod *Solferino.*

Smerekowscy żołnierze zaczęli wracać z jesienią, inni pisali, zima nadeszła. Wikta pisała i podawała do becyrku, do jeneralnej komendy we Lwowie, z tamtąd znowu pisali do pułku, dowiadywali się, i nareszcie przyszło pismo do Wikty, że Paweł Tereszczuk zginął w bitwie pod Solferino bez żadnej wieści i śladu, i pomimo poszukiwania, żadnej o nim nie zasięgli wiadomości.

— Wiem że nie żyje — mówiła Wikta — bo ja miałam wieść pewniejszą — i płakała biedna i tuliła dziecko, a maleńka Marynia szczebiotała: — Tatunio przyjdzie, przyniesie mi czaczy — a Wikta składała jej rączki i mówiła:

— Módl się za Tatę.

Już minęły trzy lata; bracia odsadzili Wiktę do osobnej chaty i dali dwa kawałki pola, a to dla tego, że żyje dziecię po Pawle. Trafiali się ludzie Wikcie, ale ona siedzi na swojej małej części, słyszeć nie chce o niczem, pracuje, wychowuje Marynię i modli się za duszę Pawła, któremu chce zostać wierną aż do śmierci. *B. E.*

Zkąd to ziemniaki?

Pogadanka gospodarska.

Już się miało ku zachodowi; słońce zapadało gdzieś daleko za ziemię, a wietrzyk ciepły roznosił zapachy łąk w powietrzu: kiedy Maciej, chłop smagły jak jodła, z rumieńcem na twarzy, w białej sukmanie a z książką pod pachą, szedł wolnym krokiem niby zadumany prosto ku chacie Grzegorza.

Grzegorz widząc idącego Macieja przez okno, wyszedł przeciw niemu, a pozdrowiwszy wziął go za rękę i poprowadził do izby.

— A cóż, zebrali się dzisiaj nasi słuchacze — zapytał Maciej.

— Oni już niecierpliwi, nie mogą się was doczekać! — odrzekł Grzegorz — ot wyglądają oknem, a już się mieli rozchodzić, myśląc że już nie przyjdziecie.

W tem weszli do chaty.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! — rzekł ucieszony Maciej widząc powiększoną liczbę słuchaczy — witajcie mili sąsiedzi!

— Na wieki wieków! — odpowiedzieli wszyscy zgromadzeni.

— Ej drogi Macieju! my by tam z wami i na koniec świata poszli, bo by nam się nie przykrzyło — ozwał się Antek, wściubski nazwany, bo wszędzie nos wściubiał, parobczak starego Szymona — Wy macie zawsze coś opowiedzieć a tak gładko, jak ksiądz proboszcz z ambony. —

— Bardzom rad temu, że się moi mili tak licznie zgromadzacie. Toć ja nie będę od tego, że co tylko wiem, i com się z książek doczytał, to za pomocą Bożą i wam opowiem. Sami już poznajecie, jak to dobrze i pięknie, jeżeli kto czytać umie, bo czytając można się dowiadywać o przeróżnych rzeczach. Radzę wam przeto, składać grajcar do grajcara, a gdy uciułacie trochę grosza, kupcie sobie książkę do czytania, bo i książki teraz tańsze niż przódy bywały. Odżałujcie sobie parę razy kieliszka wódki lub innej wygody, a co wesela mieć będziecie, gdy sobie książeczkę kupicie, którą wam wasze dzieci czytać mogą: to nie jestem wstanie ani wypowiedzieć! A przytem ile porad zbawiennych tam się mieści, to ani nie uwierzycie, i to wszystko za kilka marnych grajcarów!

I ja czytać nie lubiłem, ale teraz tak zasmakowałem widząc pożytek i naukę, że z chęcią odżałuję niejeden grosik na książkę, jaką mi mądrzejsi poradzą, a moje dzieciaki posyłam pilnie do szkoły. Tam je nauczyciel uczy i wychowuje na ludzi, wlewając w nich miłość Boga i bliźniego, bo gdy wedle tej miłości wszyscy postępować będą, to błogosławieństwo Boga nie wyjdzie z chat naszych i mniej będzie smutku, przykrości i niedostatku. Nie mówię ja tu, żeby nic nie robić, tylko książki czytać, bo inny czas jest do pracy a inny do czytania: ukończysz swoje, wtedy bierz się do czytania w imie Boże, a zmę-

czony pracą znajdziesz w książce ochłodę i zabawę. Czyż to nie lepiej jak łokcie w karczmie wycierać?..... A w niedzielę lub inne święto czyż to nie z Bożą chwałą i pożytkiem, gdy czas nad książką przepędzimy?

Chodzimy często, ba codzień koło różnych darów Bożych, używamy ich, a częstokroć nic nie wiemy, z kąd one się wzięły, jaki był ich początek i jak tu do nas przybyły. A przecież o tem wiedzieć należy! Otóż czytałem ja niedawno o ziemniakach, które są naszą codzienną strawą, i bez których bieda nam nieraz doskwiera, więc o pochodzeniu tych ziemniaczków i ich przybyciu do nas chcę wam dziś opowiedzieć.

— Oj dobrze, dobrze! — zawołali wszyscy — będziemy radzi słuchać, bo mało o tem wiemy.

Maciej usiadłszy sobie na ławie tak zaczął swoje opowiadanie:

— Wszystko miłosierny i dobrotliwy Bóg jak najmądrzej urządził: patrzcie jeno po tym bożym świecie ile to cudów, ile to rzeczy godnych podziwienia widzicie; wszystko to Wszechmocny Stwórca stworzył dla ludzi, i wszystko się w pewnym porządku utrzymuje, bo Bóg starając się o nas, nadał naturze do utrzymania przez siebie stworzonych rzeczy prawa, które ona jako troskliwa matka wypełniać musi. Nie zemrze tu z głodu żaden robaczek, nie uschnie maleńka roślinka, bo i ona zostaje w opiece tego, który nad światami i wszelkiem stworzeniem panuje. Wszystko w wielkim i boskim porządku; a czyż to prawie nie cudowne rzeczy, które tu codziennie widzimy? Udajmy się do roślin; czyż mało w tem wszechmocności boskiej jak one wschodzą, podrastają i jak się rozmnażają?

— Oj, kochany Macieju, a prawcież też o tych dziwnych rzeczach! — zawołali wszyscy.

— Nie potrafiłbym ja wam rozpowiedzieć o życiu wszystkich roślin, bo tajemnic tych jeszcze nie zgłębili ludzie; kto wie zresztą jakby to długo o tem prawić trzeba! Ja tylko chcę wam opowiedzieć historję ziemniaków, której oto słuchajcie.

Tutaj odchrząknął Maciej, i tak jął dalej opowiadać:

— Nie wszystkie rośliny dawnemi a dawnemi czasy rosły w naszym kraju, bo niektóre z nich, jakie tu teraz widzicie,

musieli ludzie z dalekich stron sprowadzać, i te po kilkuletnich próbach i doświadczeniach rozmnażali. Inne zaś przybyły do nas bardzo dziwnym sposobem.

— Aj cóż to, miały skrzydła, czy co? — przerwał Antek wściubski.

— Oj miały, miały skrzydła; bo robiły nieraz dalekie a dalekie wędrówki. Zapewne spytacie mię jakimto sposobem być mogło? Oto ptaki, które na zimę do ciepłych krajów odlatują karmią się różnemi od naszych owocami; zjadają też nasiona, mające dość twardą skórę na sobie, których odrazu strawić nie mogą, lecz noszą je w swoim żołądku czas niejaki. Otóż trafia się nieraz, że z takiemi ziarnami przybywszy do nas, wyrzucają je razem z gnojem, a one dostawszy się do ziemi, kiełkują i wyrastają w roślinki. Tym sposobem przybyły i przybywają do nas czasem rośliny z obcych krajów, tym sposobem rozmnażają się nieraz po świecie. Widzicie z tąd jak to cudownie i mądrze Bóg urządził ten świat i jakich on środków używa, że ani biedna pesteczka lub ziarno roślinki nie zginie, ale na pożytek ludzi się obraca!

— A czy wszystkie rośliny tak przybyć i rozmnożyć się mogą? — spytali rozciekawieni słuchacze.

— To tylko mała liczba — odparł Maciej — bardzo mała liczba, gdyż wiele z nich nie mogłoby róść tutaj dla chłodnego powietrza, bo w domu miały gorąco jakby napalił, a wreszcie i ziemia temu by nie sprzyjała.

Do rozmnażania roślin używa wszechmoc Boża jeszcze tysiące innych środków; i tak, gdy owoce roślin dojrzeją, jedne pękają i rozciskują na wszystkie strony swoje nasiona; drugie zaś mają ziarnka jakby pierzem drobniutkiem czyli puchem okryte, a te są lekkie, zatem je wiatr Bóg wie gdzie roznosi; inne dostawszy się na wodę rzek, płyną z wodą gdzieś na dalekie brzegi. Więc rzeki i wiatr do rozmnażania roślin wiele się przyczyniają.

— Ano to i ziemniaki tak do nas przyszły? — zapytał ktoś ze słuchających.

— Nie, tak nie — odpowie Maciej — ze ziemniakami inaczej się stało: ludzie musieli je sprowadzić, podobnie jak żyto, pszenicę i inne rośliny, musieli je sami rozmnażać, a jak się to stało posłuchajcie:

(Co Maciej dalej mówił nastąpi w przyszłym numerku.)

RÓŻNOŚCI.

Cygan w swatach. Był sobie pewnego razu bardzo bogaty chłop, który miał tylko jedną córkę, ale ta była na nieszczęście i głucha, i kulawa, i brzydka, więc nikt jej się za mąż nie trafiał. Aż oto jednego razu dowiedział się ojciec, że bardzo porządny chłopak z sąsiedniej wsi chce do niej swatów przysłać; uradowany tą nowiną, biegnie też czemprędzej do sąsiada cygana, prosząc go, aby wychwalał przed swatami posag córki, i poprawiał wszystko, co on tylko powie. Obiecał mu cygan oddać tę przysługę i rzekł:

— Ho, ho, spuśćcie się na mnie bezpiecznie, gdyż ja z maleńka już tyle miałem rozumu, że się nieboszczka moja matka obawiali, abym się nie wychował.

Nie długo było czekać; pod wieczór przyjechali swatowie, a po pierwszem przywitaniu tak zaczęli mówić:

— Nie sprzedalibyście nam panie gospodarzu jałóweczkę waszą?

— O, nie — odpowiedział ojciec — będę ją sam chował.

— A to może owcę? —

— Nie mam żadnej na zbyciu.

— A, skoro tak, tobyśmy może choć kurę u gospodyni utargowali.

— Sprzedała już wszystkie co miała na targu.

— Ha, niechże i tak będzie — odrzekną swatowie — a o córkę nie można by was prosić?

— To co innego! — odezwał się uszczęśliwiony ojciec, i zaczął po chwili mówić o posagu. — Dam jej — powiada — ze dwoje cieląt.....

— Co to, cielęta, jakto cielęta! — zawołał cygan — wszakto już dobre krowy!

— Dam także — mówił ojciec — z dziesięcioro jagniąt.....

— Żartujcie zdrowi — przerwie cygan — wszakto one same miały już jagnięta!

Swatowie słysząc to odkrząkiwali radośnie, a ojciec ciągnął dalej:

— Dam jej także z jaki roik......

A cygan woła znowu:

— Oj roik to roik, że go ledwie dwóch chłopów udźwignie. Alboż to ja raz był w waszej pasiece!

Uradowani swatowie mieli już zapić całą sprawę i rzecz stanowczo ułożyć, gdy w tem odezwie się z nich jeden:

— Czy mi się tak zdaje, czy też naprawdę córka wasza podobnoś trochę nalega?

— Ej, to nic — rzeknie zaturbowany gospodarz — kupiła jej matka przyciasne buty, i te jej nogę zgniotły.

Ale cygan pamiętny na to, że ma ciągle poprawiać, zawołał:

— A gdzież tam ciasne buty! Wszak ci to ona dobrze kuleje! —

— I także podobno niedowidza dobrze? — rzeknie z cicha drugi swat.

— Musiało jej coś zazwyczaj zapruszyć oko — odpowiedział ojciec.

A cygan woła:

— Jakto nie dowidza, jakto zapruszyć! Toż ona przecie zupełnie ślepa na jedno oko!

— I czy nie ma także — dodał swat — nieco przytępego słuchu?

— Musi mieć ciasno zawiązaną chustkę na głowie!

— Ale ojcze, ojcze, toć ona i bez chustki jako pień głucha! — zawołał cygan poprawiając gospodarza.

Na te słowa porwali się przestraszeni swatowie, a uciekłszy czemprędzej z chaty nie wrócili już do niej więcej. I owóż na tem skończyły się swaty i rozum cygana, co się ledwo uchował dla wielkiej mądrości.

Wydawca odpowiedzialny zą redakcją: E. Winiarz.